

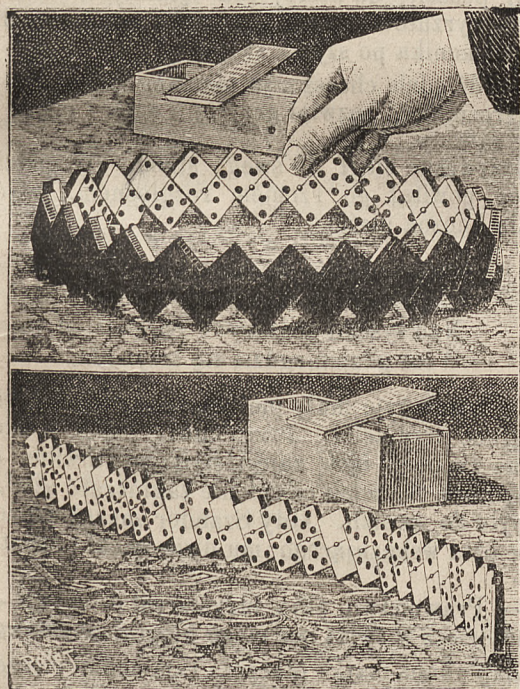


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Doświadczenie fizyczne.

Często bardzo bawimy się kostkami domina, próbując ustawić z nich przeróżne figury, z małym jednak powodzeniem, gdyż nie umiemy im nadać potrzebnej ku temu równowagi. Oto sposób ustawienia w krąg wszystkich kostek gry domina na ich kantach, jak to nam wskazuje rycina górna. Pierwsza kostka kładzie się na stole; służy ona za tymczasową

podporę tój, która się ustawia pochyło i która zaczyna szereg następnych; wszystkie zaś zachować powinny ten sam kierunek, zakreślając równocześnie koło. Uważać przytem należy, żeby w końcu pozostało tylko tyle miejsca, ile potrzeba na ostatnią kostkę. Gdy ją mamy położyć podtrzymuje się jedną ręką pierwszą kostkę, która rozpoczęła cały szereg, drugą zaś wsuwa się ostatnią na jój miejsce. Podobne temu zadanie przedstawia nam drugi oddział ryciny z tą tylko różnicą że nie zakreślamy koła ale linię prostą. Rzecz nie przedstawia się trudniej od poprzedniej i uda nam się niezawodnie, gdy pierwszą kostkę oprzemy tymczasowo o wieczko pudełka domina, nadając jój nieznaczną pochyłość; następne idą w tym samym kierunku. Gdy ostatnią kostkę ustawimy, usuwamy podporę i równocześnie chwytny lewą ręką pierwszą, prawą ostatnią i szukamy równowagi, podczas gdy z jednej strony lekko popychamy, a z drugiej stosowny dajemy opór. Po kilku takich próbach odejmujemy ręce, a szereg kostek powinien stać pochyło, bez żadnej podpory.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Ho! ho! Szandor! Jak się masz mały bracie! Dawnośmy się nie widzieli! — zawołał głos znajomy. Dnia tego przypadał jeden z licznych jarmarków, i pomiędzy cziko-
sami wiodącymi konie na sprzedaż, znalazł się także jeden, z niemniej licznych, dawnych przyjaciół Szandora.
— Dokąd tak śpieszysz, Szandorze? — wołał.

— Na pusztę, bo konam z tęsknicy... — szczerze odpowiedział chłopiec, a serce rozsadało mu piersi tak, że mówił z trudnością.

— O, a pieszo tak?... — spytał czikos wcale nie zdziwiony tęsknotą do pusztę, ale nie pojmujący podróży bez konia.

— Niema karego... — z westchnieniem odpowiedział Szandor.

— O, niema jednego, ale drugi jest!... Weź którego z moich... wszak wiesz gdzie my pasieme, dobiegłszy puścisz go do stada i koniec!

Szandor nie mógł teraz wcale odpowiedzieć, uściśnął tylko rękę przyjaciela, skoczył na konia i dalej w świat!

W szkole lekcyja następowała po lekcyi i dopiero po ukończeniu dziennych nauk, cała klasa *in gremio* udała się do domu nudziarza. Nawet trzej chłopcy stanowiący tajemną opozycyę, szli z drugimi.

Porozumienie było krótkie. Profesor ochłonął już z chwilowego wzruszenia, uczniowie wytlómaczyli się jasno, popierając słowa swoje powagą kilku nazwisk nauczycieli z gimnazjum w Szent-Lorencz, którzy już dawno uznali Szandora poetą.

— Dlaczegożeście mi tego nie powiedzieli odrazu, zanim posądziłem niesprawiedliwie o kłamstwo zacne dziecko, młodzieńca w którego piersiach płonie iskra Boża — zawołał żywo staruszek.

— Dla tego panie profeserze, że pan profesor nie dał nikomu czasu ust otworzyć, tylko wypadł z klasy jak piorun!

— Jak waryat! istny waryat! — zawołał staruszek chwytając się oburącz za głowę w napadzie szalonego gniewu na siebie samego tym razem, i bijąc się w piersi wołał:

— Dzieci! patrzcie do jakich bezprawi, do jakiej zgrozy porywczość doprowadzić może uczciwego człowieka! Pójdźcie ze mną zaraz do Petofiego, niech wszystko się naprawi.

Pobiegli. Zaledwie jednak roztworzyli drzwi dużego pokoju, gdzie Petofi mieszkał wspólnie z kilkoma współuczniami, chłopcy wydali okrzyk przerażenia, bo uderzając nieład, niezwykły tutaj, zdradzał na pierwszy rzut oka gwałtowne wzruszenie nieobecnego mieszkańca. Na stole w najwidoczniejszym miejscu, leżało trochę pieniędzy na białej kartce, zapisanej ręką Szandora, drżącą widocznie: był to spis kilku maleńkich dłużków, i sumka dostateczna na ich zaspokojenie.

Stał się krzyk nie do opisania. W dziesięć minut władza szkolna i policyjna zostały zawiadomione o wypadku i wprowadzono w ruch wszelkie sposoby odnalezienia znikłego ucznia. Profesor nie posiadający rodziny, właściciel domu w którym mieszkał, natychmiast w biurze policyjnym oznajmił że wszelkie koszta poszukiwań sam poniesie. Przez trzy dni wrzało w szkole i w całym mieście, ale śladu nie znajdowano żadnego. Uczeń jak w wodę wpadł. Czwartego dnia dopiero stary Naghy ojciec, przybył za interesami ze wsi do Selmesz i odwiedzając syna w kolegium zapytał, co dzieje się z młodym Petofim?... którego spotkał przed kilku dniami na gościńcu?

IV.

Stary Naghy dawny przyjaciel ojca Petofiego, tak jak mały był przyjacielem Szandora, nie domyślał się wcale jak ważnem było owo chwilowe spotkanie w puszczie, na pół mili szerokim gościńcu.

Szandor w pół nieprzytomnie dosiadłszy konia, pozwalał mu nieść się, jak chciało dzielne zwierzę. Dopiero długi lotny bieg i znużenie fizyczne ukolysały o tyle cierpienie, że zaczęła swolna powracać chłopcu przytomność i myśli się rozjaśniły. I wtedy właśnie spotkał go Naghy. Gdyby przyjaciel ojca był go lepiej wypytał i prawdy się domyśliwszy poratował życzliwą radą, to bardzo być może iż Szandor, ochłonawszy i rozmyśliwszy się, byłby wraz z nim do Selmesz powrócił. Ale Naghy, acz zdziwiony, nie uważał za stoso-

wne uprzykrzać się pytaniami chłopcu. Minawszy się więc z nim, Szandor oprzytomniały do reszty, poraz pierwszy powstrzymał konia, obejrzał się po świecie, orientując gdzie się znajduje?... i zapytał sam siebie gdzie?i po co jedzie?

— Po błogosławieństwo!... Pewno po błogosławieństwo na dalszą drogę życia, do miłego ojczulka się jedzie!... — zapiszczał szyderczym niby sowim chichotem, najniespodziewaniej, głos jakiś, zupełnie jakby w odpowiedzi na wątpliwości młodego podróżnego. On zadrzał oglądając się w około, boć szeroka puszcza wraz ze swym niewidzialnym gościńcem, trawą jak wszystko zarosłym, pustą mu się w tem miejscu wydawała przed chwilą. Śmiech ów szyderczy przypomniawszy chłopcu w dziwnie dojmujący sposób surowość ojca, który, pod błogosławieństwem, odwożąc go do Selmesz, rozkazał kształcić się na inżyniera lub prawnika. Tymczasem serce ciągnęło go do literatury, i buntowało się przeciw ojca rozkazom, aż teraz przy sposobności wybuchnęło buntem ostatecznym...

O trzy kroki za koniem stała cyganka Marcha, swoim zwyczajem jak z pod ziemi wyrosła.

— A! to ty Marcha? Jak się masz? Zdrowia dobre! — zawołał Szandor niby wesoło, i nagle zabobonnym przejęty strachem ponaglił konia, uciekając od chichoczącej. Zdawało mu się, że ona czyta w myśli jego. Jednocześnie stanęła mu w pamięci owa niezapomniana nigdy huczna niedziela w rodzicielskiej gospodzie, kiedy to Marcha rozniewana na jego ojca, w dziwny jakiś sposób przepowiadała mu przyszłość. Co to było? Mówiła coś wówczas o sile błogosławieństwa ojcowskiego i teraz jakby to przypomniawszy właśnie, gdy Szandor porzucając drogę życia na którą pobłogosławiony został, wyłamywał się z pod tego błogosławieństwa. Dreszcz śmiertelny wstrząsnął nieposłusznym synem. Poczul że stanąć teraz przed ojcem, nie będzie miał odwagi... Pomyślał o Selmesz i zadrzał nowem oburzeniem, na myśl o powrocie. Spojrzał smutno po niebie i ziemi, po tej bezbrzeżnej puszczy, do której tak tęsknił, a która teraz pod wpływem wyrzutów sumienia, straciła część swoich uroków... i poklepał konika po szyi:

— Idź gdzie chcesz... ja niemam dokąd... — poszepnął. Konik zrozumiał, rozwiął grzywę i ogon i puścił się z wiatrem w zawody.

Oczywiście biegł do swego stada. W godzinę później cały step powitał go rżeniem rozgłośnem, wśród którego brzmiała huczna pieśń:

Step podobny do starój
Czaszki króla olbrzyma,
Nad łysemi obszary
Włos gdźmieniedzie się trzyma!...

— Niech żyje mały pieśniarz! — rumak i jeździec wpadli w grono przyjaciół. Przez chwilę jeden u misy gulaszu, drugi na zielonej łące zajęci byli gwałtownie, nie jedli od wczoraj rana; jednemu cierpienie zagłuszało głód, drugiemu pilno było do swoich. Gdy Szandor zasnął znużony, ujrzał we śnie ojca wskazującego mu dwie spiekle opustoszałe drożyny:

— Prawnictwo albo inżynieria! — mówił — albo inaczej, pójdziesz w świat bez mego błogosławieństwa!

Zapłakana matka otaczała ramionami pieszczocha, jakby broniąc przed tą groźbą okrutną. Chłopak zerwał się, zimnym obłany potem.

— O!... odpocząłeś pieśniarzu?... to może nam coś nowego zaśpiewasz?... Ale jeżeli nie możesz to się nie trudź daremnie! Może kogo innego duch pieśni w tej chwili ożywia; nie trzeba bliźnim przeszkadzać...

— Owszem, zdaje mi się że on mnie ożywia w tej chwili, a oto pieśń... słuchajcie!

Mówiłaś matko, że dłoń niebiosów
Snuje marzenia prorocze,
I że sny nasze są jak przezrocze
Przyszłych kolei i losów.

Matko!... ja miałem sen zeszlój nocy,
Rozświeć mi jego mamidła...
Pędził mię wicher, zbrojnego w skrzydła
Aż do stóp tronu Wszechmocy.

„Synu mój, nie drzyj wśród życia burzy
Lecz ciesz się dziecię me drogie
Bóg ci da życie długie i błogie,
To sen twój wieści i wróży.”

I wyrósł młodzian, młodością wrzącą
Zawrzał wśród równych najwcześnieję,
Spiewając ludziom ogrzewał pieśni
Ciepłą krwią w żyłach drgającą.

Dłonią pieśniarskie ujął narzędzie,
Przelał w nie uczuć swych dźwięki,
I w świat płynęły jego piosenki
Jak smutne białe łabędzie.

I wzbil się w górę w świetnych gwiazd koło,
Co chwałą wieczystą płoną,
Gwiazd tych promieniem niby koroną
Geniusz przyobłókl mu czoło.

Ale tron pieśni to gładz rozbicia,
Spiewak oddawał za chwałę
Kwiaty swęj duszy, serce swe całe
I z każdą pieśnią część życia.

Płomień serca piekłem się stały,
Kapłan padł pastwą ofiary,
Ogień przepalił życia konary
Prócz jednéj gałązki małéj.

I oto upadł na śmierci łożu
Syn męki życie trawiacęj,
A biednéj matki głos bolejący
Wolał do Ciebie o Boże.

„O, wstrzymaj, wstrzymaj nieszczęsne ramię
Nie bierz go, śmierci aniele!
Bóg mu obiecał życia tak wiele
Wszak głos snów bożych nie kłamię?”

Matko, syn jego prawdą był Bożą
Cóż ztąd że zamknie tu oczy,
Gdy jego imię chwała otoczy
Niezgasła na wieki zorzą!...

Gniewne odległe szczekanie psa przerwało tę pieśń po raz drugi chórem śpiewaną. Lekki popłoch pomiędzy kofmi oznajmiał także zbliżanie się kogoś obcego. Szandor zadrzął i zbladł jak chusta. Czokosy patrzyli na niego. Z tą szczególną bystrością właściwą ludziom dzikim, odgadywali podobno jego położenie, choć dotąd nie spytali go o nic, wedle prawidła najpospolitszój gościnności, która zakazuje pytać gościa o to, czego by sam nie powiedział.

(d. c. n.)

KRÓLOWA RYKSA.

Obrazek z dawnych czasów,

p. Teresę Jadwigę.

Jak niema pomysłności, któraby się w nieszczęście zamienić nie mogła, tak też niema niedoli któraby nie mogła stać się szczęściem.

Smiles.

W Toledo, stolicy Nowej Kastylii, pod cieniem szerokich liści winnej latorośli, co bujnie rozrasta się koło balkonowi królewskiego, pnąc się po marmurowych kolumnach, wspierających sklepienie pałacu, spoczywa na miękkich, jedwabnych poduszkach królowa Ryksa w kwiecie wieku jeszcze i cudnej urody... Wszystko co natura wydała najpiękniejszego zebrało się koło niéj, jakgdyby chcąc młodej pani życie uprzyjemnić; wszystko co sztuka ludzka ku ustrojeniu życia naszego zdziałała, otoczyło ją; wszystko, czego ludzie jedni drugim zazdroszczą, stało się jéj własnością... Czyste, błęki-

tnie niebo rozpościerało się nad nią w górze, ani jedna chmurka nie budziła trwogi, by pogoda zmienić się miała; pomarańcze o liściach gładkich, świecących, mirty pokryte białym kwieciem, figi, co słodki owoc wydają, migdały z różowym kwiatem, smukłe palmy daktylowe, szerokoliste i kolczaste aloesy, wyniosłe dęby, utworzyły piękny ogród, który otoczył pałac królewski gajem zielonym; skryte wśród tych drzew ptaszęta dzwonią wesoło, motyle uwijają się rażno pomiędzy niemi, a wotryk łagodny roznosi słodką woń kwiatu pomarańczowego, która mięsza się z zapachem róż, co kwitną bliżej pałacu. Upał już nie dokucza, bo słońce zeszło z południa i ku zachodowi się posunęło, ostatnie jego blaski złocą zdaleka płynącą rzekę Tag, w której przegładają się wyniosłe skały, co niby murem obronnym otoczyły stolicę Nowej Kastylii... Naprzeciw pałacu wśród krzewów róż, tak bujnie kwiatem pokrytych, iż zielone liście giną pod niemi, szmerze fontanna, chłodząc powietrze, a szmer jéj tworzy akompaniament do chóru ptasząt, co z gąszczy ogrodu dochodzi. Zdaleka stoi kilka służebnic i kilku dworzan, gotowych na skinienie pani, chętnych by spełnić rozkaz téj, która ich królową, którą otacza, również cześć całego narodu. Hiszpanie kochają Ryksę, bo dobrą jest panią, litościwą na niedolę poddanych, chętnie spieszącą z pociechą smutnym; szanują Ryksę jako żonę króla ich Alfonsa VII-go, który był jednym z największych królów, jacy dotychczas zasiadali na tronie kastylskim, a może nawet największym... I któż to pohamował wewnętrzne niezgody, jakie zakłócały Kastylię w chwili gdy Alfons wstąpił na tron, któż jak nie on sam, któż to walczył dzielnie z Maurami i rozgromił ich, któż jak nie on, kto wziął szturmem Kordubę, oraz wiele innych warowni, zajętych przez Arabów, kto Grenadę odważył się obledz, kto jak nie on mąż Ryksy... Kto szczęście i pokój zapewnił poddanym i zdobyć ich serca potrafił, kto jak nie on, kto założył w Kastylii rycerskie zakony, podniósł jéj miasta, oświatę w nich rozszerzył, kto jak nie Alfons? Sława bohatera i mędrca go otaczała, sława ta spłynęła na żonę jego i blaskiem ją okryła. Hiszpanie czczą i kochają swoją królowę, a cześć tę i miłość nie tylko słowami, lecz i czynem wyrażają. Ryksę przepych otacza, bogate szaty ją stroją, w czarnych jéj włosach świecą najrzadsze klejnoty, liczni dworzanie jéj służą, wszystko co ludzie szczęściem zowią, czego jedni drugim zazdroszczą to posiada Ryksa... Tuż przy niéj stoi kołyska złocista, w niéj śpi dziecina maleńka, sliczna jak anioł: rumieńce, które zdobią jéj twarzyczkę świadczą o jéj zdrowiu, uśmiech jaki co chwila pojawia się na jéj ustach uspokaja ducha. Ryksa jest matką téj dzieciny, więc i tego nie odmówiły jéj nieba, los hojnym był dla niéj... Ale jednak mimo tylu darów, mimo tylu warunków, będących podstawą szczęścia nie widać radości na jéj twarzy i czarne jéj oczy to ze smutkiem wpatrują się w śpiącą dziecinę w złocistej kołysce, to ze skargą niemą podnoszącą się ku jasnym błękitom nad nią rozpostartym, jakgdyby z wymówką.

Bo i cóż jest szczęściem, czy to co większość ludzi tem mianem nazywa, to co losy Ryksie szcudrze dały: piękność bogactwo, znaczenie sławę, o nie to z pewnością... Szczęście i w ubogiej lepiance gości, szczęścia złotem nie kupi, szczęście w sercu mieszka, ale w sercu czystem, niewinnem i spokojnem, w którym smutek, lub zgryzota się rozgospczą z tego szczęście ucieka, Ryksa zaś poniosła już dwie bolesne straty w życiu. Lat siedmnaście miała zaledwie, gdy król Alfons, jéj duma, jéj chluba, jéj mąż ukochany umarł, lat dziewiętnaście miała nie więcej, gdy Fernando, przyszły król Kastylii, syn jéj pierworodny nadzieja matki, za ojcem podążył, została jéj na pociechę tylko córeczka maleńka Sancia lecz i téj los tak niepewny obecnie. I któż ręczyć może czy w dniu, w którym Hiszpanie nowego pana obiorą, nie odbiegnie ją ten tłum dworzan, by bić pokłony nowemu panu... Smutek zagościł w sercu Ryksy i szczęście zeń uciekło, smutek rozsiadł się na jéj twarzy i uśmiech z niéj uleciał, smutek zajrzał do jéj oczu i zgasły jasne promienie, co w nich kiedyś świeciły. Póki żył jéj mąż, nie znała go wcale, nie znała co niepokój, co tęsknota, lecz odkąd wdową została uczucia te

nawiedzają często jej serce, i dziś obległy ją znowu i ciężko jej bardzo ciężko Ryksie na duszy. W dali stoją służebne i dworzanie kilku, śledzą niespokojnie smutek na twarzy pani i radziby go rozproszyć, odegnąć, ale nie śmia się odezwać; lecz Ryksa sama pragnie się z niego otrząsnąć, więc myśl zwróciła gdzieindziej od niedawnej przeszłości do odleglejszej do lat dziecinnych, ku północnym stronom myślała pobięła, ku tym, z których do Kastylii przybyła, gdzie stała niegdyś jej kołyska, gdzie matka jej, ojciec, bracia mieszkają... I stanęły przed oczyma jej duszy wszystkie te drogie postacie i gorycz, co serce jej zalewała, złagodniała.

— Narzekać mi jeszcze nie wolno — szepnęła sama do siebie — mam rodziców, mam rodzeństwo, jeśli ztąd niewdzięczność mnie wygna, tam niezawodnie mnie przyjmą, przytulą przygarbą i spokój zapewnią...

W tem, gdy tak z sobą rozmawia, pod cieniem mirtów i pomarańcz w drodze z ogrodu ku gościńcowi wiodącej, ukazały się jakieś postacie. Ryksa dźwignęła się z poduszek i wzrok ku nim zwróciła; spostrzegli idących i dworzanie kró-

Henryka i Bolesława, pewny dalszego powodzenia obległ Poznania, już wody Warty krwią się zaczerwieniły, już czekaliśmy rychłoli i ten gród otworzy swe bramy przed nami, gdy naraz na dany znak z wieży świętego Mikołaja, obskoczyły nas zewsząd nieprzyjaciół siły i rozbiły księcia Władysława; pokonany, w ucieczce zmuszony był szukać ocalenia, rozstawnemi końmi udał się do Krakowa, a ztąd z żoną i synami uszedł do cesarza niemieckiego i tam znalazł schronienie.

Blada, jakgdyby wszystka krew z niej uciekła, słuchała Ryksa posłańca nieszczęsnej wieści, a gdy skończył mówić ukryła twarz w dłoniach i głowę na piersi zwiesiła.

— Więc ojciec mój tułaczem — rzekła po chwili głosem złamanym twarz odsłoniwszy, więc bracia moi i matka wygnana, gdy Hiszpanja miejsca dla mnie nie znajdzie, gdy wybierze nowego pana, a o mnie zapomni, nie będę miała gdzie się schronić, bo guiazdo moje rodzinne wydarte memu ojcu; i tę nadzieję los mi odebrał. Tu znowu twarz ukryła w dłoniach i stała złamana zgnębiona.

Widząc jej boleść, dworzanie ośmielili zbliżyć się do niej.



Wojownik jawański.



Wojownicy wysp Ombay i Guebu.

lowej, oni również ciekawie się nim przypatrują: „kto to?” pyta jeden drugiego.

Obcy to jacyś goście, długie poważne suknie jakie mają na sobie mówią o tem. Obcy, lecz idą tak śmiało, jakgdyby pewni byli, że tutaj nikt nie ma prawa zagrozić im drogi powiedzieć: „dalej iść wam nie wolno”. Szaty ich długie, poważne, twarze surowe, idą wolno, a kierują się wprost ku pałacowi... Na twarzy Ryksy widać zdumienie, lecz niknie ono stopniowo, a w miejsce jego uśmiech występuje na smutne jej lica, czyby w tych przybyszach dobrych znajomych poznała, nareszcie zrywa się z poduszek i zarumieniona, daży ku wschodowi marmurowym, na balkon wiodącym, a goście już stanęli u ich stóp i korne ukłony przed nią składają.

— Zadałaś wieści o twoim ojcu królowo — rzekł jeden — książę Władysław przysłał ci przez nas odpowiedź, lecz bądź mężną, bo wieści smutne niesiemy... Dziad twój Bolesław Krzywousty państwo swe między czterech synów podzielił, książę Władysław uznając iż podział państwa jest zgubą jego, postanowił odebrać braciom ich dzielnice i połączyć je w jedną całość, lecz Jakób arcybiskup gnieźnieński i Wszebor wojewoda sandomierski, oparli się temu i wojna domowa wybuchła... Zrazu szczęście sprzyjało naszemu orężowi, książę Władysław zajął posiadłości dwóch braci:

— Jakże możesz pani tak mówić — odezwał się jeden. — Mogłoby kiedy miejsca u nas zbraknąć dla ciebie... Małżonka Alfonsa VII-go i córka jego, spokojnie jutra wyglądać powinny; nie zapomną Hiszpanie nigdy, co winni zmarłemu królowi; był on dla nas ojcem, bronił nas od wrogów, opieką otaczał, Hiszpanie odpłacą tem samem żonie jego i córce.

Ryksa odsłoniła twarz, westchnęła ciężko, jakgdyby zrzucając ciężar z piersi.

— Dzięki wam za te słowa — rzekła z uśmiechem — pokrzepiły one ducha mego, mniej gorzko płakać teraz będę nad moją sierotą. — Tu zwróciła się do przybyszy.

— A was panowie przepraszam za chwilową mą słabość — dodała uprzejmie. Przed Bogiem przystoi tylko wylewać łzy, przed ludźmi kryć je należy, bo życzliwym są przykre, obojętnym nudne... To powiedziawszy ręką wskazała gościom drzwi do pokoi królewskich wiodące.

* * *
Cóż to za uroczystość odbywa się na dworze króla Aragonii Rajmunda, tłok w sali godowej od panów i pań, a różnych tam widać przedstawicieli narodów. Tuż obok hiszpańskich, grandów grafiowie niemieccy stoją pod ścianami, lub przechadzają się wzdłuż i szerz sali, obok grafiów i baronów niemieckich, widać hrabiów francuzkich i włoskich panów... Wszyst-

kich romańskich narodów zebrali się dziś tutaj książęta, lecz na jakąż to uroczystość? W pośrodku sali stoi tron złocisty, obok niego kilka krzeseł paradnych, na tronie siedzi Rajmund król Aragonii, koło niego z jednej strony małżonka jego, dalej dwór cały; z drugiej strony widać Ryksę wdowę po Alfonsie VII-ym, a tuż przy niej Sancię jej córkę, dziś już kilkoletnią dziewczynkę, całą w bieli w wieńcu mirtowym na czole, jakby ona była główną osobą w tej uroczystości... Tuż obok niej stoi lat parę starszy od niej Alfons syn króla Rajmunda. I na nim strojne godowe szaty i on wygląda jakgdyby dla niego ci goście się tutaj zebrali i tak jest też chyba, bo trubadurowie nadworni śpiewacy pieją na ich cześć pieśni, bo wszystkie spojrzenia ku nim się ciągle zwracają...

Na twarzy Ryksy dziś smutku niema, z uśmiechem szczęścia spogląda na córkę i na stojącego obok niej królewicza; dziś Ryksa nie boleje nad sierocym losem swęj jędynaczki, nie płacze nad jej sieroctwem, z trwogą w jej przyszłość nie patrzy, bo los jej dziecięcia zapewniony. Sancia

godności powitał króla Rajmunda potem zwrócił się do Ryksy, wyciągnął do niej ramiona i uściskał ją.

— O Bóg jest wielkim — rzekł — smutnych pociesza, nad sierotami czuwa i was nie opuścił, mogę teraz umierać spokojny, przybyłem tu po to, by wnukę moję pobłogosławić, zanim przed ołtarzem jak młoda oblubienica stanie.

Tu zwrócił się do Sancier, ona ukłękła przed nim, obok niej królewicz, a książę Władysław podniósł dłonie i modlitwę błogosławieństwa odmówił, potem oboje do serc przycisnął i zasiadł obok króla Rajmunda, przy nim Ryksa, dalej narzeczeni, a trubadurowie przerwane pieśni nucić znowu poczęli, na cześć młodej pary.

UZBROJENIA DZIKICH.

Sposób uzbrojenia pierwotnych ludów przechował się dotąd u dzikich. Główną broń ich stanowią spisy, które



Oficer króla wysp Sandwich.



Jeździec pancerny z Baghirmi.

ma zostać żoną królewicza Alfonsa, dotrzymali słowa królowej Hiszpanie, nie zapomnieli o córce Alfonsa VII-go, oddać ją postanowili, jako małżonkę przyszłemu swemu królowi, dziś zaręczyny obchodzą młodej pary. Ryksa szczęśliwa, bo o losy córki spokojna i gdyby nie jedna myśl, jedna troska, troska o losy ojca, zupełnie szczęśliwą byłaby. Niepokój o niego to kropla goryczy w jej czaszy, przyszedł on jej teraz właśnie na pamięć i uśmiech uleciał z jej ust, westchnienie z piersi się wydarło, przed oczyma jej duszy stanęli rodzice i bracia.

— O czemuż was tutaj niema — rzekła cicho — radość nasza rozwiąłaby wam smutek z serca.

A w tem, jakby życzenie jej potęgę rozkazu miało, drzwi sali królewskiej rozwarły się i w progu ich stanął siwy starzec, kilku panami otoczony, długie ich szaty różnią ich od panów tutaj zebranych, obcy to goście jacyś.

Ryksa podniosła wzrok i z piersi jej krzyk radości się wyrwał:

— Ojciec!

— Książę krakowski, Władysław Piast szeptem obie-gło sale.

A starzec ów posunął się ku tronowi, ukłonem pełnym

aczkolwiek przetrwały aż do naszych czasów i w cywilizowanych krajach, były wszakże najpierwszą bronią człowieka, pochodząc od zastrzonych na końcach kijów, do których później dodano ostrze żelazne. Niektórzy dzicy wojownicy, jak np. wyobrażeni na naszych rysunkach mieszkańcy Jawy i wysp Sundzkich, oprócz spisy używają jeszcze krótkich nożów i krótszych lub dłuższych mieczów, które także były pierwotną bronią, inni znów jak przedstawiony w pełnym rynsztunku oficer wysp Sandwichskich, zadawalniają się samą tylko spisą. Wiadomo powszechnie że rycerze w wiekach średnich, bywali niejako zakuci w żelazną zbroję, nie wszyscy wszakże wiedzą, że państwo Bornu w środkowej Afryce i sąsiadujące z nim państewko Baghirmi posiada wojowników chroniących się przed uderzeniem ciosów nieprzyjacielskich w pancerz z waty — tak, z waty pokrytej jakąś kratkowaną bawełnianą tkaniną, która osłania zarówno konia jak jeźdźca, przedstawionego na rycinie naszej. Pomysł ten co najmniej oryginalny, a tem dziwniejszy, że klimat afrykański musi go czynić nieznośnym i że podobny sposób przyodziewania się, jest w zupełnym przeciwieństwie z aż nazbyt lekkim okryciem i bosemi nogami innych wojowników.

WIECZOREK W ZALESIU.

(Dokończenie).

W pół godziny później, wszystko już było gotowe.

W salonie przegrodzonym szkarłatną pięknie udrapowaną firanką, jaśnieją zapalone światła, na ustawionych w szeregi krzesłach zasiadają goście, bliżej estrady dzieci, dalej dorośli. Ukryta za drzwiami muzyka poczyna grać. Odzywa się dzwonek i firanka odsłania się na dwie strony. Na estradzie wśród masy świerków i kwiatów w doniczkach, kilkanaście dziewczynek w bieli i kwiatkach na głowie, trzymając się za ręce, płasają w pośród zarośli. Obraz jest prześliczny! Wybrano panienki najładniejsze z całej okolicy, wyglądają więc prześlicznie! Najpiękniejszą jednak z wszystkich, jest Halinka. W leciutkiej gazie, w rozpuszczonych włosach, trzymając w ręku pęk wodnych traw i lilii, wygląda jak prawdziwa rusalka.

Wszyscy wokoło chwalą ją i unoszą się nad jej wdziękiem, siedząca przeciw w drugim rzędzie ciotka uważa, że zażywe trochę ma rumieńce i oczy nienaturalnym świecące blaskiem, czem się niemało niepokoi.

— Wszak prawda, że Halusia zanadto jest rozgrzana? — mówi zwracając się do panny Anny.

— Piła wino i gorąco jest w sali — odpowiada nauczycielka. — Pójdę do niej zresztą, gdy zapadnie kurtyna.

Po żywym obrazie idą deklamacje i śpiewy. Nie czekając popisów panna Anna wymyka się z sali, szukając Halinki. Zastaje ją w pokoju panienek, w gronie rusalek zrzucających pospiesznie kostiumy. Przebiera się znowu w różową, odprasowaną świeżo sukienkę, wesółą i rozpromienioną.

— A co najdroższa panno Anno, śliczny był nasz obraz! — woła ujrzawszy nauczycielkę.

— Bardzo ładny! udał się wybornie. Lecz co ty dziecko taka jesteś rozpalona? — dodaje przykładając dłoń do jej czoła.

— Ja? przeciwnie jest mi ciągle zimno! — odrzekła Halinka pokazując lodowate ręce.

— Czyś tylko nie chora?

— Ej nie! jak zacząć tańczyć, to się rozgrzeję.

W godzinę potem Halinka jak różowy motyl w takt muzyki płasza po sali. Ona jedna w gronie tanecznie ubrana jest po balowemu, gdyż wszystkie panienki z powodu mrozu przyjechały w ciemnych, zimowych ubraniach. Najładniejsza z całego zebrania, lekka, zwinna, tańczy też bez wytchnienia. Dziwi ją to wprawdzie trochę, że tak prędko dziś czuje się zmęczoną, gdy dawniej skakać mogła przez kilka godzin, lecz tłumaczy sobie niezwykłą ociężałość trudami podróży. Kości ją trochę bolą i nie może się rozgrzać. Głowę ma rozpaloną jak głównia, w piersiach pali ją coś jak żarzący węgiel, a po ciele chodzą lodowate dreszcze. Póki jeszcze w ciągłym jest ruchu, to trzyma się jako tako, ale skoro usiedzie, trudno jej się podnieść.

Gdy około dziesiątej podano herbatę, Halinka w kole rozbawionych gości siedzi smutna i osowiała. Zdawało jej się, że taka jest głodna, a teraz nic jeść nie może! Skosztowała wprawdzie pączka, lecz zrobiło jej się po tem niedobrze a teraz głowa boli ją bardzo.

Po herbacie gdy muzyka na nowo zabrzmiała i dzieci z zapalem zabierają się do tańca, ona nie może prawie poruszyć się z krzesła. Bolą ją ręce, nogi, w piersiach, słowem wszystko. Powstawszy z wysiłkiem z krzesła, nieznacznie, wysuwa się z salonu i schroniwszy się w pokoiku panienek kładzie się na kanapie, by spocząć choć trochę.

Bronisia pierwsza spostrzegła jej nieobecność i szuka jej wszędzie.

— Haluniu, gdzie jesteś? Co tu robisz Haluniu? — woła wbiegając do sypialni. Wstań Haluniu, właśnie tańczyć będziemy mazurą!

Halinka nie odpowiada. Rozpalona, czerwona, śpi snem kamiennym, skulona w kąciku kanapki.

— Halusiu! Halusiu! — ciągnie ją za rękaw Bronia.

Dziewczynka podnosi trochę ociężałe powieki.

— Czy to już dzień? — pyta nieprzytomnie.

— Nie! ale tańczymy. Wstańże Halinko!

— Moja droga panno Anetko, umiem już lekcye... daj mi spać jeszcze choć chwilkę! — mówi przez sen...

Teraz już Bronisia przeleżała się okropnie i pędem biegnie do cioci.

W minutę później z salonu nadbiegają wujostwo, panna Anna, Kocia i państwo Dębsey. Wszyscy troskliwie otaczają kanapkę na której nieprzytomna, bredząc gorączkowo, drzemie nasza strojnicka.

Halinka okazuje się chorą, bardzo chorą! bez zwłoki też wujostwo wybierają się z powrotem do domu. Karetą państwa Dębskich, mimo spóźnionej pory, jechać mają inną, dalszą lecz lepszą drogą, własny powóz i Bronię, pozostawiając w Zalesiu.

Gdy późno w nocy, zmartwieni wujostwo stają przed gankiem domu, Halinkę z pojazdu wynoszą. W ciągu drogi ani na chwilę nie odzyskała przytomności, skoro zaś wreszcie położono ją do łóżka, z którego rano wstawała tak wesółą, powiększyła się jeszcze gorączka. Wuj nie czekając rana, sankami popędził kazał do miasteczka po lekarza, ciocia zaś z panną Anną, zasiadły smutne u wezłowania chorą.

Wesoły promień zimowego słońca przedarłszy się przez zapuszczone firanki, pada na łóżko Halinki i zagląda jej w oczy tak długo, aż ją ze snu przebudza, otwiera z wolna powieki.

Zdaje jej się że spała, spała sama nie wie jak długo. Dzień już zupełny, słońce świeci w okna, musi już być chyba południe? Nie rozumie, dla czego nie rozbudzono jej dotąd, ani nie pamięta, kiedy się położyła. Chce się podnieść, ale jakoś jej trudno... podnosi rękę, ręka ciężka, niby z ołowiu... próbuje poruszyć głowę i ta nieswoja... obraca się więc na drugą stronę i oczami wodzi po pokoju. Dokoła cisza, zdala dochodzi gwar rozmowy i stuk łyżek o talerze, widocznie jedzą obiad... Przy jej łóżku na stoliku pełno flaszek, szklanek z lekarstwami, pudełeczek z proszkami...

Halinka zna to wszystko, pamięta od czasu, gdy przeszłego roku wujaszek był słabym i domyśla się potrochu, że chyba ona była teraz chorą. Przykro jej tak samutkiej, chciałaby zawołać na ciocię, czy pannę Annę, ale taką czuje się słabą, że trudno jej się na to zdobyć. Przymyka więc na nowo oczy i choć nie śpi, odpoczywa, jakby po najcięższej pracy. Czuje przy tem, że twarz ją boli i swędzi. Drzemiąc lecz raz po raz twarzy ręką dotyka, zdaje jej się, że odpędza uprzykrzonego komara. Szmer lekki obok, budzi ją na nowo. Otwiera oczy... Ciocia z panną Anną stoją nad nią schylone, uśmiechając się do niej.

— Nie dotykaj twarzy Halusiu! — szepce ciocia łagodnie przytrzymując jej rękę.

— Jakże się czujesz?

— Dobrze. Jeść mi się chce, bo nie daliście mi obiadu.

— Dzięki Bogu! Zaraz przyniosę ci rosół.

— Cioteczko, czy ja chora?

— Byłaś chorą.

— A czemu mię teraz twarz boli?

— Ej, nic wielkiego! miałaś jakieś wyrzuty... Zgoją się niedługo! Nie dotykaj tylko tej wysypki, bo pozostałyby po niej ślady.

— Kiedy to tak pali nieznośnie..

— Poczekaj, zaraz posmarujemy maścią, to nie będzie paliło.

Panna Anna siadła i wzięwszy ze stolika niewielki słoiczek, pędzelkiem ostrożnie twarz Halinki wysmarowała. Ciocia tymczasem poszła po rosół.

— Chciałabym się zobaczyć! Moja droga panno Anetko, podaj mi lusterko.

— Później, później kochanko. Teraz pójdę do kuchni zawołać by prędzej podano ci rosół. Mówiąc to panna Anna, spiesznie wybiegła z pokoju.

— Panno Anno! panno Anno! — woła za nią Halinka słabym głosem, nauczycielka już jej nie słyszała.

Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Drugi list Stefanka do młodszych braci.

Goryca d. 20 Lutego.

Kochani Mieciu i Józiu!

W dzisiejszym liście zamierzam wam opisać ostatni dzień tutejszego karnawału.

Jeżeli ktoś ma zamiar co kupić, musi wybrać się przed południem, gdyż około godziny 3-jej prawie wszystkie sklepy zamykają, aby się oddać zabawie.

Mama, ja i Adaś, znaleźliśmy się już o godzinie 2½ na placu głównym (Piazza Grande). Tłumy ludzi, a szczególnie młodych chłopców, zalegają go. Wszyscy wyglądają tak, jakby czegoś oczekiwali, a ulicznicy skrcają sobie czas rzucaniem w siebie wzajemnie kamieniami. We właściwych Włoszech, jak czytałem, ostatnie dni karnawału obchodzone bywają także na ulicy; zamożniejsi mieszkańcy przejeżdżają się powozami, rzucając w siebie kwiatami i tak zwanymi *confetti*, niby cukierkami w tutkach, z których rozsypuje się proszek biały niekoniecznie cukrowy, od którego przejezdni stają się powoli podobni do młynarzy. Ale „co kraj to obyczaj”.

W Gorycy znalazłyby się też kwiaty, chociaż mniej okazałe niż we Florencji albo w Neapolu, a choćby i w Rzymie; ale kwiaty kosztują, a kamienie można mieć darmo i *dobitniej* niż kwiatami zwrócić na siebie uwagę. Jakby dla tem lepszego podobieństwa do prawdziwego włoskiego karnawału, naokoło placu rozsiadło się ze 40 babek, a przed każdą stolik z paczkami drobnych cukierków. Takie same cukierki roznoszą po placu chłopcy, wołając: „confetura”! Tu i owdzie słyhać głos roznoszącego smażone owoce na słomkach: „caramel” tu znowu kobiety noszą ciastka mniej wykwintnego gatunku. Naraz z ulicy Arcivescovado (Arcybiskupiów) wychodzi trzech chłopców przebranych i w maskach. Bliżej stojący spostrzegają ich najpierw. Krzyk: „la maschera!” rozlega się na całym placu i zrazu kilku, a potem kilkadziesiąciu chłopaków pędzi na yszęgi do owych masek, aby im się przyjrzeć, a także by je zaczepić lub poczuć się z nimi. Zamaskowani wcale nie są od tego, a nawet zawczasu uzbrowili się w kije lub w parasole, aby mieć czem zbyt śmiałych nastpników poskromić. Później pojawiają się inne maski, później jeszcze inne, a każdą rozigrani ulicznicy częstują kamieniami. Żadna jednak maska nie zostaje im dłużną. Dochodzi ta niby zabawa do zbyt już grubych wybrków. Oto z Via Arcivescovado wyszedł biało ubrany chłopak z maską na twarzy, z czerwoną czapką turecką z chwaścikiem na głowie; niby to od słońca osłaniał się połową starego parasola. Zgraja rzuciła się na niego: w jednej chwili parasol zniknął, a maska trzymała tylko jego szkielet; rozgniewana rzuciła się z owym kijem na jednego z chłopaków (nawet, o ile mi się zdaje, nie na winowajcę), i wiadomo czemu się to skończyło, gdyby zbyt zuchwałej maski nie okrążyli towarzysze napadniętego. W jednej chwili zdarto jej maskę i czapkę; poturbowany zniknął, jakby się w ziemię zapadł.

Przestraszona Marysia, obawiając się gniewu pani, ucieka wreszcie z pokoju, Halinka zaś samotna lka i jęczy żałośnie.

Za nic w świecie nie spojrzalaby więcej w zwierciadło. I tak już stoi jej w oczach twarz zeszepecona, którą ujrzała. I to miała być ona?! owa śliczna uśmiechnięta Halusia!

Zaczęła szlochać straszliwie, załamuje ręce, w końcu zmęczona płakała coraz ciszej.

Gdy w pół godziny, ciocia z fliżanką ziółek, panna Anna zaś z talerzem rosółu wracają do pokoju, zastały ją leżącą spokojnie, jakgdyby spała. Skoro przecież na palcach zbliżyły się do łóżka, podniosła głowę.

— Ciociu, ja mam ospę? — pytała cichutko.

— Tak niestety! moje dziecko.

— Czy po ospie na zawsze pozostają takie ślady?

— Jak nie będziesz dotykać, pozwolisz cierpliwie smarować przepisaniem lekarstwem, to może nie zostaną.

— A jak zostaną?

— To trzeba się zgodzić z wolą Boga.

Dwie lzy wielkie spływają z wolna z oczu Halinki.

— Cioteczko — rzekła jeszcze ciszej — tem mi boleśniej, że sama jestem winna mój niedoli... Nie słuchałam waszej pocziwój rady! Gdybym nie była wybrała się tak lekko, nie byłabym się przeziębiła i nabawiła tej strasznej choroby, wszak prawda? Panna Anetka przepowiedziała dobrze, że próżność moja nie wyjdzie mi na dobre. Czy Bronisia chorowała także?

— Nie, Bronisia dotąd pozostaje w Zalesiu, gdyż lękałiśmy się jej tu sprowadzać.

— To Bronisia teraz będzie dużo ładniejszą odemnie?

— Jak Bóg da. Trzeba przygotować się na wszystko.

— Ale i ja teraz postaram się być taką dobrą, posłuszną jak ona! Widzi cioteczka, zawsze dotąd myślałam sobie że uroda przedewszystkiem każdą panią zdoła.

— Nie Halusiu, zdoła ją najwięcej rozsądek i dobroć gdyż te przymioty nigdy nie zaginą.

— Będę już teraz zawsze rozsądną dobrą i kochającą, żebyście kochali mnie, choć tak bardzo zbrzydłam!

Wyzdrowienie Halinki postępowało odtąd szybkim krokiem. Twarz jej pokrywają jeszcze brzydkie sine plamy, lecz doktor zapewnia, że z nadejściem lata i te ślady znikną zupełnie. Włosy ostrzyżone odrastają dość prędko, jest więc nadzieja, że będzie znów kiedyś ładną. Cieszy się tem lecz nie przygląda się już w lustrze, nie spędza godzin wolnych przy szafie z sukniemi, bo w długich chwilach samotnego rozmyślenia w czasie choroby, nabyła przekonania, że nie strój i uroda stanowią wartość osobistą, lecz jedynie zalety umysłu i serca. Wujostwo też, zastępujący jej miejsce rodziców, mają z niej niemalą pociechę, a panna Anna za wzór ją stawia innym młodym paniom.

czas karetkę i jadąc w niej, pili tanie (zresztą dosyć dobre) wino tutejsze i śpiewali.

Niech używają! wszak to już koniec: już jutro wszystkie te błazny pójdą do kościoła, a ksiądz, syjąc im popiół na głowę, przypomni:

„Z prochu powstałeś, i w proch się obrócisz.

Stefan J.

SZARADA.

ułożyła Ewa Marya.

Staś z Zosią po nauce przy babuni siada,
Przyrzeczona im bowiem zawila szarada;
Babunia uśmiechnęła się do wnuków mile
I zaczęła w te słowa pomyślawszy chwilę:
— Nasze *pierwsze* i *trzecie* dosięgało morza,
Dziś z dala na brzeg morski odsyła część zboża.
Rasą, wzrostem słynęły nasze *drugie*, *czwarte*,
Kiedy rżały po stepach dzikie i uparte,
Lub z hukiem, trąb odgłosem, rwąc z kopyta żywo,
Parskały ogniem butnie potrząsając grzywą.
Teraz, doli zrządzeniem, dla nich bardzo srogiem,
Więcej niż z polem chwały, znają się z batogiem,
Ciągną wozy, orzą nam pługami zagony,
Tracą siły nim padną i... zawód skończony!

— Biedne! szkoda! Staś rzecze. Babuniu kochana,
Czy zawsze po dniach szczęścia zła nadchodzi zmiana?
Babcia smutniej spojrziała, potrząsnawszy głową,
Poczem wątek szarady podjęła na nowo:
— Los, czas, przynoszą codzien w życiu, w świecie zmiany,
Zaledwo róże, lilie zakwitną nam w lecie,
Już je burza rozmiata, a cierń *drugie*, *trzecie*.
— Ach! wykrzyknęła Zosia, po co wiatry, burze?!
Ja pragnę aby wiecznie kwitły lilie, róże!
Babciu, na tę niestałość ziemską jestże rada?

— Jest, choć *czwarte* zaprzecza, rozum odpowiada:
A z głosem jego serce pokrzepia otucha,
„Wszystko moje, lecz wieczne to co płynie z ducha!
Co zacne!... W *drugim*, *trzecim* szerokim ludzkości,
Wielkie dzieła rąk długi trwają w potomności,
Wielkie myśli jak gwiazdy świecą nad jej drogą;
Dążący ku nim *pierwsze*, *czwarte* sięgać mogą.
Dalej! dziś *pierwsze*, *trzecie* do pracy z pożytkiem!
Niechętnych *trzecie*, *czwarte* nazwie mianem brzydkiem;
Więc przy kwiatach ziarno siał potrzebą dokoła:
Ziarno wiedzy, a kłosa ozdobią wam czoła.
Kto lilie cnoty wplecie w swój pszeniczny wieniec,
Temu Pan zawsze powie: „Oto dobry żeniec”!

Łamigłówka trójkątna.

Ułożyła Biała Perełka dla Błyskawicy.

Pierwszy wyraz i początkowe litery następnych wyrazów utworzą imię i nazwisko powieściopisarza węgierskiego.
2. Uczony grecki. 3. Zgromadzenie zakonu żeńskie założone w 1537 r. 4. Kardynał francuzki. 5. Miasto portowe w hrab-

stwie Norfolk. 6. Poeta sielski, oraz przyjaciel Mickiewicza. 7. Nazwa Amerykana. 8. Wódz biblijny. 9. Historyk włoski z XVII wieku. 10. Rzeka w gub. Jenisejskiej wpadająca do Jeniseju. 11. Wykrzyknik. 12. Samogłoska.

REBUS.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Zadania konikowego:

Myśl mój pieśni nie przekwita,
Jako niebo, serce, wiosna,
Wiecznie świeża, rozmaita
I dziewicza i miłosna.
Coraz w gaju śpiew ucicha,
Wolnie buja kilka chwilek,
I z wonnego róż kielicha
Pije balsam, jak motylek.

(Śpiew poety przez Bogd. Zaleskiego).

Łamigłówki krzyżkowe:

e z o r S z t y n
t e c z Y ń s k i
k u k u R y d z a
p o d k O w i e c
S Y R O K O M L A
o s t r O l ę k a
k i l o M e t r y
k a r o L i n k a
m a s k A r e n y

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Królowa Ryksa, obrazek z dawnych czasów p. Teresę Jadwigę. — Uzbrojenia dzikich (z drzew.) — Wieczorek w Zalesiu. — Korespondencya Wieczorów Rodziny. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Wdzięczne gąski (z drzew.) — Rozstanie, wiersz p. Romanię Kamińską. — Przygody Wicusia p. Annę Załęską. — Zabawa arytmetyczna. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

WDZIĘCZNE GĄSKI. ✕

— Wstawajcie! wstawajcie moje córeczki kochane — mówiła poważna pani Gęgasińska, do swoich trzech małych, acz wypierzonych już córeczek — wstawajcie, bo oto widzę przez szpary ściany że już świta, i czuję miły chłodek poranny; pewną też jestem że nasza kochana Magdusia zaraz tu przyjdzie i wypuści nas na poranną przechadzkę. Nie chciałabym zaś żeby ta pocziwa dziew-

zaraz Magdusia wsadzała ją do dużego garnka z pierzem, gdzie mogłyście w ciepłe wypaść się wygodnie. Pielęgnowała nas też potem i mnie i was posilając często. Później gdyście podrosły, strzegła was pilnie i dotąd strzeże. Powiedzcież same czy za to wszystko nie jesteście jej winne wdzięczności?

— Gę gę gę!... winne jesteśmy, winne, winne, winne! — zagęgały z wielkim zapalem panny Gęgasińskie, trzepocząc żwawo skrzydłami.

— Bardzo mię to cieszy że wdzięczne macie wąż-



Wdzięczne gąski.

czyna zastała was z niewstrząśniętymi i uczesanymi następnie dziobem piórkami, jak sąsiadki nasze Kaczyńskie, które dopiero za wejściem człowieka zrywają się ze snu, napelniając nieobyczajną wrzawą dziedzińca folwarcznego. Nie dziwię się zresztą tamtym pospolitym istotom, gdyż nie odebrały one tak starannego jak my wychowania, około którego Magdusia nie szczędziła pracy. Dobra z niej dziecinka. Mogę wam już dziś opowiedzieć, gdy doszłyście do rozumu, że w straszliwych dla mnie czasach owych, gdy nieboszczyk pan Gęgasiński zginął tragicznie w zębach tego rozbójnika Zaboja, a ja zrozpaczona uciekałam krzycząc nieprzytomnie, ta pocziwa Magdusia utuliła serce moje zdruzgotane, a następnie, gdy jak nieprzytomna automatycznie tylko siedziałam na jajach, ani wiedząc że wy, pociechy moje, wyglądacie z nich macie już zamiar, ona zajęła się wami. Pilnowała baczenie; zaledwo która z was stłukła skorupkę,

trąbki—z powagą podjęła znów pani Gęgasińska, a wtem odezwała się jedna z panien:

— Wątróbki mam? Dla czego wątróbki a nie serca, jak ludzie?

— Bo wątróbki są najdelikatniejszą częścią gęsi córeczko—odparła pani Gęgasińska—studując raz dziobem książkę łacińską, która wypadła na gościńcu z bryczki jakiegoś przejeżdżającego ucznia, dowiedziałam się powyrzawszy wszystkie jej kartki, że uczeni starożytni byli także tego zdania.

— Gę gę gę! aha aha! — zawołały gąski, a pani Gęgasińska mówiła dalej:

— Otóż, powiadam wam że cieszy mię, iż wdzięczne macie wątróbki, a to tem bardziej że chce abyście, jako dorosłe, zaczęły mi pomagać w obronie dobrej Magdusi, której od paru tygodni dokucza straszliwie ten wąż panicz ze dworu, Jasieczek, który przybył niedawno

do dziadków... — wtem chórem zagęgały panny Gęgasińskie:

— Gę gę gę!... wiemy wiemy wiemy!... a wszakże ona ledwo i nas obronić przed tym swawolnikiem może, który dusi nas chwytając lejcami pąsowemi za szyję, utrzymując, że przedstawia jazdę jakichś strusi w zaprzęgu.

— Otóż to! o tego właśnie swawolnika mi idzie — rzecze pani Gęgasińska — dokucza on dobrej Magdusi niemniej jak nam, wszak widziałyście same jak szczypcami od komina ściągnął jęj chustkę z głowy, otóż musicie mi pomódz aby go raz podobnych psot niegodziwych oduczyć.

— Gę gę gę! pomożemy! — zawołały gąski, a wtem drzwi komórki skrzypnęły i dobra Magdusia wypuściła swoje wychowanki na przechadzkę i śniadanie. Właśnie wszyskie w najlepsze były zajęte skubaniem trawy na dziedzińcu, gdy nagle zjawił się mały Janek pocichu z garnuszkiem wody i zaszedłszy za plecy Magdusi, wlał jęj wodę za kołnierz, na czystą białą koszulkę i świeżo wyprany gorsecik.

Magdusia przestraszona krzyknęła, na krzyk jęj porwały się wszystkie Gęgasińskie:

— Gę gę gę, tsssss... hejże na tego złośliwego malca! gryź, szczyp, kąsaj gdzie kto chwycił... — z tym przerażającym krzykiem, sycząc rzuciły się na Janka.

Zdziwiony i przerażony taką obroną biednej gęsiarki, chłopczyk zaczął uciekać skacząc ogromnymi susami, zasłaniając rękami okolice najbardziej zagrożone... ale na nic się to nie zdało, aksamitne ubranie porozrywane zostało w drobne kawałki silnemi dziobami gęsi, a za strzępkami czarnego aksamitu czerwona krew się pokazała... Okropność!!!

Janek długo leczył się potem, ale nauka jak to mówią w las nie poszła, bo nigdy w życiu już nie dokuczał nikomu.

ROZSTANIE.

Władysław, mały chłopak, żegnał się z Wojciechem, Z którym się zaprzyjaźnił, na feryach u cioci, Oba żal wyrażali to płaczem, to śmiechem, Dzieląc się, na rozstanie, resztkami łakoci. Ileż chwil miłych, błogich łączyło ich z sobą! Razem codzień dla siebie siodłali kucyki, Razem figle płatali kapryśnemu bobo, Co wpadał, jak sęp na nich z głuszącemi krzyki, Razem w krzak się schowali przed siostrzyczką Franią, A ona ich szukała, o! całą godzinę. I razem w jar wlecieli w pogoni za kanią Co przyniosła im deszczu niemłą nowinę... A ileż gier ich wspólnych widział konik polny I te złote karaski, pluszczące się w stawie! Jeden chłopczyk był więcej, drugi mniej swawolny, Lecz godzili się z sobą w życiu i w zabawie. Już wjeżdża na dziedzińiec bryka zaprzężona, Z sieni wynosi podróżne pakunki, A chłopczyki trzymają splecione ramiona,

Kończą i znowu wiążą szczerze pocałunki

— O jakież to nieszczęście, że cię żegnać muszę!

Rzekł Wojtuś, co od żalu stał czas jakiś niemy;

— Jakież szczęście — rzekł Władysław — że my mamy duszę, Że myśleć i wspominać o sobie możemy.

Romania Kamieńska.

PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNE ZAŁĘSKA.

VI.

Dzień był śliczny; blade zimowe słońce lśniło tysiącami światła w szronie okrywającym drzewa, w soplach lodu, zwieszonych u dachów domostw, w kwiatach mrozu, pokrywających okna mieszkań. Mróz był silny, na ulicy ludzie ruszali się żwawo, prędko, z ust ich buchała para, jakby z samowarów; czasem dzieciak jaki zmarniętymi nóżkami tupał o ziemię, a dorożkarze i stróże, bijąc się skrzyżowanemi rękami o ramiona, rozgrzewali zmarnięte swe postacie.

Fomiędzy licznymi przechodniami dużymi i małymi, jednym z najmniejszych był Wicusi; głowę podniósł wysoko do góry, ręce w ciepłych wełnianych rękawiczkach zagłębił prawie po łokcie w kieszeniach olbrzymiego szynela, czerwone uszy schowały się prawie całkiem pod grubemi fałdami barankowego kołnierza, a zawieszzone na ręku łyżwy, prawdziwe „halifaksy”, dzwoniły do taktu z pompatycznym krokiem ucznia. Wielu starszych ludzi z uśmiechem oglądało się za chłopczykiem, ale Wicusi się temu wcale nie dziwił, bo wierzył że wygląda wspaniale.

— Ach! jaka to nieznośna ulica ta Marszałkowska, tak nieskończenie długa — westchnął Wicusi, któremu krótkie nogi, zaplątane w długim szynelu, nie pozwalały przyśpieszyć kroku — a ci cykliści także mądrzy, żeby tak daleko od naszego mieszkania ślizgawkę urządzać!

Rzeczywiście Wicusi, mieszkając na Mazowieckiej ulicy, miał spory kawałek drogi do klubu cyklistów, a choć mamie tłómaczył, że to będzie z wielkim szykiem, jak on na ślizgawkę zajedzie dorożką, mama tego zrozumieć nie mogła czy nie chciała i kazała mu iść piechotą. W końcu jednak przed oczyma Wicusia, chorągiewki, kołysane lekkim wiatrem, rozwinęły swe czerwone i niebieskie barwy, a z za niezbyt wysokiego parkanu, który jednak Wicusiowi zasłaniał całkowicie miejsce zimowych zabaw, dał się słyszeć chrzęst łyżew suwających się po lodzie, oraz wesole rozmowy.

Wicusi przyśpieszył kroku i w parę minut stanął u celu swęj wycieczki. Z niezmiernym pośpiechem założył sobie łyżwy, i wkrótce już sunął po zwierciadlanej powierzchni lodu, rozpatrując się wokoło za znajomymi.

W tej chwili usłyszał donośne wołanie:

— Wisuś! Wisuś! dobrze żeś przyszedł; — obejrzał się i zobaczył kolegę Adasia, który zręcznie holendrując zbliżał się z wielkim impetem.

Wicusi chciał się obrazić za takie publiczne przekroczenie swego imienia, ale nie miał czasu, większy i silniej-

szy Adaś wpadł na jego małą figurkę, zakręcił go w koło siebie i połączeni braterskim uściskiem, wyciągnęli się na lodzie, Adaś jak długi, Wicus jak krótki. Ale to nic! zerwali się jeszcze prędzej i ze śmiechem dalej się ślizgali. Obaj byli nieźli łyżwiarze, choć Adaś wprawniej-szy po koleżeńsku uczył Wicusia cofania i holendra.

Już z pół godziny oddawali się tej miłej rozrywce, gdy wtem tuż przy nich popchnięta przez kogoś dziewczynka, upadła i pomimo wielkich wysiłków podnieść się nie mogła, bo łyżwa z prawej nogi zaplątała się w sukienkę. Oburzony Wicus rzucił piorunujące wejrzenie na sprawcę tego wypadku, który ze spokojnem sumieniem zbliżył się do niej.

— Niegrzeczny, źle wychowany—szepnął półgłosem, i w mgnieniu oka stanął przy dziewczynce z uprzejmością dorosłego mężczyzny. Ona podniosła [zarumienioną twarzyczkę. — Kto jesteś, kawalerze? — zapytała podając mu rękę.

— Wincenty Z., uczeń klasy drugiej, gotowy [każdej chwili na usługi panienki—odrzekł zapytany z miną wspaniałą.

— A ja Halinka! więc dobrze, kiedy już się znamy możemy się razem ślizgać — i umocniwszy z pomocą Wicusia odpadającą łyżwę, ślizgali się razem, opowiadając sobie różne ciekawe rzeczy... Mama Halinki rada była z tej znajomości, bo się ogromnie przestraszyła wypadkiem córeczki, i wdzięcznie Wicusowi za pomoc dziękowała. Wkrótce nadjechał i Adaś, a Wicus, jako uczynny kolega przedstawił go swjej małej towarzysze i odtąd ślizgali się razem we troje.

Po pewnym, czasie zmęczona Halinka siadła na ławce, a chłopcy bawili ją rozmową.

— Ciekawam bardzo — rzekła Halinka — czy też który z was potrafiby potaćzyć na lodzie, wczoraj widziałam takiego dużego pana, który ślicznie tańczył walc, a wszyscy stali i przyglądali mu się.

Nim Halinka dokończyła już Adaś, podśpiewując sobie nutę jednego z bardziej znanych walców, w takt, wyraźnie zrobił parę obrotów, które się dziewczynce bardzo podobały.

— Ach jakże ty się ślicznie łyżwujesz — zawołała zachwycona.

Uradowany Adaś coraz nowe wymyślał sztuki, w końcu okręciwszy się kilka razy na jednej łyżwie, podskoczył do góry, zdjął z głowy czapeczkę i stanął na równe nogi nie tracąc równowagi. — Halinka klasnęła w ręce, a zwróciwszy się do Wicusia:

— A teraz ty! czy umiesz tak się ślizgać jak Adaś? — zapytała z lekkim odcieniem pogardy w głosie.

— O wielka mi sztuka! — rzekł Wicus lekceważąco, bo zajęcie okazywane Adasiowi gniewało go trochę — wielka mi sztuka! nie święci garnki lepia.

— Umiesz? to spróbuj! — zawołała Halinka — ale bardzo prędko pożałowała słów swoich; widząc, że Wicus choć mniej biegły w łyżwowaniu, puszcza się na najtrudniejsze sztuki Adasiowe, chciała go wstrzymać, ale już było zapóźno.

(d. n.)

ZABAWA ARYTMETYCZNA.

Pomnóż pomyślaną liczbę przez 2, do tego dodaj 5 i pomnóż całość przez 5: Następnie dodaj do tego 10 i pomnóż przez 10, odejmij 350 i podziel przez 100, a to będzie ową pomyślaną liczbą.

Przykład. Ktoś pomyślał liczbę 7 pomnożone przez 2 = 14 + 5 = 19 × 5 = 95 + 10 = 105 × 10 = 1050
1050—350 = 700 podzielone przez 100 = 7.

Łamigłówka kryształowa. (dla Gamy C-dur).

1. Spółgłoska.
2. Ptak.
3. Owad.
4. Miasto w Belgii.
5. Ojciec króla który zburzył Jerozolimę.
6.
7. Hetman polski.
8. Rzeka we Francyi.
9. Drzewo.
10. Część twarzy.
11. Samogłoska.

HOMONIM.

Nazwa łodzi czy ptaka?
Spytaj o to kozaka!

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

H o m o n i m u:

O d r a.

Zagadki rebusowej:

N a u k a.

Skrzynka do listów.

P. Hirszmanowi w Żanecinie. Oprócz pierwszego, wszystkie żądane zeszloroczne numera i dodatki posłać możemy, jako dla prenumeratora po cenie kwartalnej, to jest za rs. 1 kop. 25 nie zaś za opłatą każdego numeru osobno, co by dużo więcej wyniosło.

P. Markiewiczowej w Żywocinie. Dwóch pism pod jedną opaską posyłać nie możemy. Cztery ruble złożono do Przeglądu Pedagogicznego, którego prenumerata roczna kosztuje rs. 7.

Pani hr. Platerowej w Liksnie. Wysłaliśmy żądane dawne numera, które kosztują kop. 50, z przysłanych zatem zapewne przez omyłkę rs. trzech pozostaje do dalszego rozporządzenia rs. 2 kop. 50.

P. A. Krolickiej. Numer zaginął na poczcie nie z naszej winy, posyłamy go powtórnie, prosimy wszakże nadal o przesyłanie listów czy odkrytych kartek pocztowych frankowanych, gdyż wszelkie przesłane na koszt musimy opłacać podwójnie i przeto przyjmować ich nadal nie będziemy, tylko zwrócone zostaną na koszt tego kto je przysłał.

Figlarzowi. Ani pomysł ani wykonanie rebusów nie nadaje się do Wieczorów R.

Maryni K. Łamigłównki odebraliśmy, lecz muszą czekać swojej kolei, jeżeli są dobre.

Zawadyaka z nad Dunaju, oraz wszyscy którzy nam przysłali próby swęj kaligrafii, otrzymają odpowiedź we właściwej porze. Zawadyaka nie musi całego czasu obracać na zwady i kłótnie, skoro i na balach bywa i gra na skrzypcach i dróg w labiryntach wyszukuje i kaligrafią się zajmuje. Całą trójkę młodziutką pozdrawiamy serdecznie.

Myśleliśmy już że **Makolągwa** o nas zapomniała i z prawdziwym zadowoleniem wzięliśmy do ręki liścik miłej ptaszyny. Numer brakowały wyszły.

Uczynimy zadość żądaniu **Maryni i Feluni R.** Bardzo zresztą słuszną jest rzeczą, aby wyprawiać pismo pod adresem małych współwłaścicieli, które prenumerują je z oszczędzonych przez siebie pieniędzy.

Wydrukowaliśmy już odpowiedź na pytanie postawione w numerze 4-ym. Ani **Pszczółka** ani **Mała Pedrutka z nad Wisły** nie dały dobrej odpowiedzi: pierwsza niedokładną, a druga zupełnie mylną jak się o tem przekonają.

Jakże nam miło, **Złota Przedo** że słowa nasze tak zbawienny skutek wywarły na ciebie. Poczciwą masz widać naturę, skoro chętnie stosujesz się do danej rady i serce musisz mieć jak złoto szczerze, skoro wierzysz w serce u innych. Na naszym nie zawieszysz się dziewczeczko.

Czarodziejko droga, na początek znajomości i nas oczarowałeś wyraźnem i kaligraficznem pismem, ale mimo to, odpowiadamy na pytanie to samo, co wszystkim nie czarodziejkom, a miłym nam przecie dziewczeczkom. **Gołąbka** jest tylko *Gołąbką*, a pisze się do niej jak się do kochanej i kochającej starszej siostry pisać zwykło. Korespondencye nie są płatne, ale z powodu braku miejsca po jednym tylko na raz liściku przysyłać można.

Od **Lucia des E.** otrzymaliśmy rozwiązanie.

Adamowi P. posłaliśmy żądany dodatek.

Westalce serdecznie dziękujemy za okazane nam zaufanie i otwarte wypowiedzenie myśli swoich. To nigdy nie znudzi a zawsze się przyczyni do zadzierzgnięcia serdecznego węzła. Dziecko drogie, nie można niczem lepiej i skuteczniej dopomóc rodzicom, jak będąc dla nich tem wszystkim, czem być pragniesz. Bogu i ludziom stać się można przez to miłą, a szczególnie gdy się *nikogo* nie nazywa „*znienawidzonym*”. Chrześcijanką jesteś, z jednej ziemi chleb jecie i w tej samej spoczną wasze prochy... Złe zwyczaje, a złych poprawić można tylko miłością.

Brzydotkę z nad Tamizy przepraszamy za mimowolną pomyłkę. Tym razem spełniliśmy jej żądanie, będzie to jednak wyjątkiem tylko.

Niezapominajka z nad Warty spóźniła się z rozwiązaniem dobrem.

Żądany dodatek dla **p. M. K.** posłano, lecz należy się za to kop. 30.

Kochana Maniu Z. z przyjemnością uczyniliśmy raz zadość twęj prośbie, nie możemy jednak tak często umieszczać łamigłówek nadsyłanych nam przez jedną korespondentkę, skoro tyle ich czeka cierpliwie swęj kolei. Tę samą odpowiedź niech zastosuje do siebie **Jadwinia Z.**

Kochana Pomarańczarko rzymska! Przykro nam, że tak długo nadaremnie wyglądałaś odpowiedzi, którą zarzucono w drukarni. Teraz wynalazłszy pierwszy liścik, odpowiadamy na zawarte w nim pytania. Z wielką przyjemnością przyjmujemy cię do grona korespondentek i na liściki twoje chętnie odpowiadać będziemy, ale na umieszczenie łamigłównki lub zagadki długo ci czekać wypadnie, bo drukują się one kolejają, a zawsze spory ich zapas mamy. Liściki czytowane są przez osobę, która szczerze kocha młodych czytelników i szczerze też pragnie umieć przelać w swe odpowiedzi uczucia, jakie ma dla was wszystkich. Zadanie konkursowe zostało już ogłoszonym. Na pytanie dotyczące się **Gołąbki** odpowiadamy to samo, co odpowiedzieliśmy **Czarodziejce**. Liściki zamieszczamy w miarę możności, kolejają ich nadejścia, ale dla uniknięcia nieporozumień z pseudonymami, przyjmujemy tylko korespondencye panienek do panienek, chłopczyków do chłopczy-

ków i od tej reguły żadnego nie robimy wyjątku. W końcu prosimy o przysyłanie na raz po jednym tylko liściku.

Moja maleńka parko: **Iskierko i Kłosku Podolski**, dla czegożby wasza kaligrafia nie miała być *przyjętą* na konkurs? Znam dzieci starsze, a gorzej od was piszące! Redakcyja serdecznie wam dziękuje za słowa pamięci, a ja całusem odwiedzczęm się za całusy, tak wasze, jak i **Trawki** stepowej, która także jak na niespełna pół roku nauki wcale nieźle pisze. Za to też spotka ją przyjeźmość: liścik od **Stokrotki z nad Pilicy**, która przy tej sposobności i do mnie serdecznie się odezwała, za co jej bardzo wdzięczną jestem.

Srebrna Kropelka do mojej „łaski” się odwołuje, nadsyłając liścik i łamigłównkę. Muszę wszakże ją uprzedzić że tak liściki jak ławigłównki powinny być pisane na osobnych karteczkach.

Zabkę z nad Rusi witam serdecznie w gronie korespondentek i na początek znajomości przesyłam nowo-pozyskanęj siostrzyczce ucałowanie.

Coraz liczniejsze nasze kółko staruszek **Nocy księżycowa!** Niedługo będziemy się podpieraly laseczkami i główkami kiwając wspominać będziemy młodzieńcze nasze latka! Ale i wtedy zapewne nie wygaśnie nam w sercu to uczucie siostrzanęj przyjaźni, które w niem powstało?

Horpyno moja droga, dla czego uważasz swój pseudonym za brzydki? Tak technie Ukrainą, tak krasawicę tameczną na myśl przywodzi! Jeżeli chcesz koniecznie, to weź ten który porzuca mieszkanka nadwarciańska. Dobra pani nic o swoich imieninach wiedzieć nie chce. **Kazio** już jest od dawna poważnym p. **Kazimierzem** i nie myśli dzisiaj o swoim niegdyś współpracownictwie. Wspominałam o nim wprawdzie, jako o poprzedniku moim i wzorze, ale nawet dla mnie nie był on już nigdy „**Kazimierz**” poprostu.

Dobrze robisz **Jemiołuszek** droga, że pisząc do mnie po raz pierwszy, pewną jesteś dobrego przyjęcia. Serce moje do was należy, siostrzyczki, i wszystkie macie prawo do niego. Na uwagę tyczącą się milczenia młodych naszych czytelników, to tylko odpowiadam, że teraz gdy brat mój **Józio** pisywać zaczął w **Wieczorach**, chętniej może zawiązą stosunki z Redakcyą. Dobra pani i wymieniona przez ciebie osoba *nie* są jedną osobą.

Rybka z Hnifopiaty lubiąca podróżować, gdyby **Wiselką** do Warszawy zawędrowała, przekonałaby się że nikt mnie „czcigodną” nie nazywa. Pragnę nią zostać wistocie, nie dla tytułu w liście... Tymczasem serdecznie cię witam, siostrzyczko nowo-przybyła.

Sasanko z Mazowieckich lasów zrobię co będę mogła, ale ty wiesz jak idzie o *kolęj*, Redakcyja jej zmienić nie może.

Błękitnej Kokardce całusem płacę za całusa i dołączam prośbę: liściki przeznaczone do „skrzynki” niech będą pisane na osobnej zupełnie ćwiartce niż ta na której mieści się list do Redakcyi lub do mnie.

Skanderbegowi ślicznie dziękuję za wyznanie, że mnie kocha „oddawna”. I ja kocham szczerze takiego młodziutkiego braciśzka, który po raz pierwszy odzywa się do mnie. **Julek** nie pisuje teraz, bo bardzo nauką zajęty.

Dla czegożby opis Warszawy miał być nie na swoim miejscu **Królowo Elfów**? Małoż jest o niej do napisania. Każde moje słówko do ciebie jest zawsze „serdecznem”.

Z prawdziwym wzruszeniem czytałam list twój **Praco**, i z prawdziwą też wdzięcznością przyjmuję zaufanie jakim mnie darzysz. Trafnie obrałaś sobie pseudonym, dzielna siostrzyczko moja!

Nie, **Staszko z Podola** nie wyperswadujesz mi tego, że lepszą jesteś od wielu, a lepszą właśnie przez to, że wszystko pragnęłaś zrobić *jaknajlepiej*, że zadowoloną się czujesz z wyznaczonego ci działu pracy, że ci wystarcza ciche życie, że nie pragniesz nic nad to co masz, i to co masz przed sobą, jako wyznaczone ci życia zadanie miłujesz, jakby własnym towarzyszem było wyborem. Pisma czytujemy mniej więcej te same, mnie „**Bluszcz**” zastępuje „**Tygodnik Mód**”, zresztą w Redakcyi zawsze przerzucić można świeże pisma i nowe książki. Z książek najlepiej lubię historyczne, nie mówię już o poezyi, bo któżby jej nie lubił. Przepada więc za nią nawet tak licha ptaszyna, jak oddana wam całem sercem

Gołąbka.